

Wietnam - między Buddą a Ho Chi Minhem

Wietnamska wyprawa była moją pierwszą podróżą azjatycką. Kusila mnie od dawna nie tyle płytka egzotyka, która ma to do siebie, że nieco oswojona szybko przestaje być egzotyką, co bardziej konkretnie tropikalny klimat z jego błogimi temperaturami i bioróżnorodnością, kultura będąca pod silnym wpływem buddyzmu, ślady historii starożytnej i najnowszej... Staralem się jednak jak najmniej wyobrażać sobie to, co mnie tam spotka, aby nie przywiązywać się do wyobrażeń, potencjalnie dalekich od rzeczywistości. Otworzyłem się na to, co będzie i szybko mnie to oczarowało.



Dragon Boats w Cave Paradise National Park. Fot. Olgierd Dilis

Po długim, głównie nocnym locie - nigdy chyba latanie nie stanie się moim ulubionym sposobem podróżowania - koła samolotu wreszcie uderzyły o płytę lotniska w Hanoi. Czuję się trochę jak w saunie, gdzie para właśnie buchnęła znad rozgrzanych kamieni. Ku mojemu zaskoczeniu jest umiarkowanie słonecznie, momentami wręcz pochmurnie i tak będzie przez większą część pobytu. Tropikalne słońce przypiecze konkretnie dopiero pod koniec. Wcześniej wielokrotnie nie skropi, a zleje tropikalny deszcz. Tak ciepły, że deszczowicz leży bezużytecznie w plecaku, a ja zażywam ciepłego prysznica, a potem w naturalny sposób obsycham, nie czując dyskomfortu.

Porządek w chaosie

Uliczny harmider daleki jest od tego znanego w Europie. Inne są dźwięki, widoki, zapachy. Bardzo mało samochodów, za to mnóstwo mopedów i motocykli niewielkiej pojemności, służących do poruszania się wszędzie i przewożenia wszystkiego. Na niewielkim skuterze potrafią się pomieścić 4-osobowa wietnamska rodzina i jeszcze kogut trzymany pod pachą. Przewozi się też drób i rozmaite zwierzęta domowe, np. niewielkie pieski, w klatkach przymocowanych centralnie za siedzeniem i jeszcze po bokach, a także wielkie sterty bananów, kokosów i innych owoców, ogromne baniaki z wodą mineralną itp.

Zarówno kierowcami, jak i pasażerami są osoby obojga płci i w każdym wieku. Częstym elementem ubioru, nie tylko użytkowników jednośladów, są maseczki na twarz - szyte z bawełny, w rozmaitych kolorach albo zielone chirurgiczne. Ma to chronić przed spalinami i wszelkim zanieczyszczeniem i jest też modne, bo przyszło z krajów stanowiących punkt odniesienia - Korei i Japonii. Trudno też nie zauważyć cienkich bluz z kapturami, zasłaniających nawet dłonie - po to, aby się nie opalić. Nie przez wszystkich używane kaski mają często długie daszki od słońca i z tyłu wycięcie na spięte w ogon długie włosy. Panie, jeśli są pasażerkami, lubią siadać po damsku w poprzek siedzenia, zakładając z wdziękiem nogę na nogę.

W dzień nikt nie włącza świateł, a w nocy włączają nie wszyscy. Strumień jednośladów sunie non stop, rozdzielając się i łącząc, normalne jest zajeżdżanie drogi, wciskanie się w rozmaite luki, jeżdżenie pod prąd. Wszyscy ciągle trąbią, nie jest to jednak upomnienie kogoś, kto jedzie w sposób potencjalnie kolizyjny - z europejskiej perspektywy wszyscy tutaj tak jeżdżą - lecz sygnał dla otoczenia: „uwaga jadę”.

Bycie pieszym na pasach nie znaczy absolutnie nic. Zielone światło też niewiele zmienia - i tak może ci przejechać przed nosem, na oczach policjanta z siermiężną drewnianą pałą siedzącego leniwie na rozkładanym stołeczku, skuterzysta bez kasku, rozmawiający przez telefon. „Jak chcesz przejść przez ulicę, to zamknij oczy i idź wolno. Nie przyspieszaj i nie zwalnij, w żadnym razie nie przebiegaj” -

radzi Europejczykom tubylec. Jeśli policja za coś kierujących zatrzymuje, to jedynie za nadmierną prędkość. Zwyczaj dość wolnej jazdy częściowo tłumaczy fakt, że przez 3 tygodnie nie jestem świadkiem ani jednego wypadku, nawet drobnej stłuczki. Oni jakoś intuicyjnie unikają kolizji. Nie widać też, aby ludzie się irytowali, niecierpliwili – tak czy siak zdążysz, podążaj z nurtem i ufaj swej dobrej karmie...

Socjalizm wolnorynkowy o bardzo ludzkim obliczu

Można tu odnieść wrażenie, że każdy zajmuje się jakimś drobnym interesem. Mnóstwo mniejszej i większej gastronomii – od stylowych restauracji po bardzo prowizoryczne punkty serwowania smacznego jedzenia na ulicy. Małe sklepiki, handel obnośny, rozmaite usługi, od masażu wszelakiego po strzyżenie czy sklejanie sandałów. Duża tego część pod gołym niebem w wąskich, krętych uliczkach.

Typowym obrazkiem są kobiety w stożkowatych kapeluszach ze słomy ryżowej, noszące na wspartej na barkach żerdzi wielkie, płaskie kosze z różnymi owocami lub orzechami. Państwo najwyraźniej nie nęka takiej drobnej inicjatywy ekonomicznej. To nie neoliberalna Polska, gdzie zakupy robi się w ogromnych centrach handlowych, a straż miejska ściga babcię próbującą sprzedać np. trochę pietruszki. Nie widać jakoś wielu przejawów oszałamiającego bogactwa ani też skrajnej nędzy. Ludzie są pogodni, na luzie i życzliwi wobec siebie oraz przyjezdnych. Bardzo ciekawi obcokrajowców o europejskim wyglądzie. Przeszkadza jedynie bariera językowa. Tylko z kilkoma osobami udaje się w ciągu całego pobytu swobodnie porozmawiać po angielsku. Raz zaczepia nas na ulicy wietnamska rodzina, która spędziła jakiś czas w Polsce i polskim władą, ich córka nawet biegle.

Duchowa mozaika

Katedra Św. Józefa w Hanoi bardzo przypomina paryską Notre Dame, czego nie można powiedzieć o Katedrze Notre Dame w Sajgonie (Ho Chi Minh). Orientalne elementy wystroju wnętrza ciekawie wkomponowują się w neogotycką architekturę. W centrum Hanoi, niedaleko katedry, znajduje się jezioro otoczone parkiem, gdzie wielu ludzi rano ćwiczy tai chi. Na jeziorze znajduje się wyspa, a na niej taoistyczna pagoda z dziedzińcem pełnym okazałych bonzai, w płaskich, stylowych donicach. Idąc na wyspę, tuż przed urokliwym mostkiem spotykam jedno z bardzo wielu miu, czyli świętych miejsc, gdzie pali się kadzidła i atrapy banknotów w ofierze lokalnym duchom.

Na terenie tej pagody stoi też gabłota z mumią ogromnego żółwia – przedstawiciela gatunku występującego w tym jeziorze. Według legendy żółw taki powierzył cesarzowi magiczny miecz dla przegonienia chińskich najeźdźców, a po skończonej misji miecz odebrał i zniknął z nim w odmętach. Pomnik tego cesarza znajduje się nieopodal i jest przyozdobiony szpalerami czerwonych flag ze złotą gwiazdą albo sierpem i młotem, jakie spotyka się w Wietnamie na każdym kroku.

Wrażenie robi też Pagoda Quan Su, będąca głównym ośrodkiem buddyzmu w tym mieście. Z archiwalnych zdjęć rozwieszonych na krużganku wynika, że przewodniczący Ho oraz inni partyjni dygnitarze bywali tu mile widzianymi gośćmi. Jak widać, „komuna” niejedno ma oblicze. Mauzoleum Ho Chi Minha to bardzo okazały budynek otoczony imponującym parkiem bonzai. Jego portrety spotykamy w bardzo wielu miejscach, a w „przyjemnie nieturystycznym” Dong Hoi, na niewielkim wzgórku napotykamy jego ołtarz. Palą się na nim kadzidła, takie same jak w pagodach, miu czy na bardzo powszechnych ołtarzykach przynależących do ludowej religii – dwie brodate postaci personifikujące pomyślność i długowieczność oraz miski z wodą, ryżem i solą – oprócz kadzideł składa się im czasem w ofierze papierosy lub piwo.

Jak na jedwabnych malowidłach

Zatoka Ha Long. Wystające z morza, czasem spowite lekką mgłą skały, porośnięte bujną tropikalną roślinnością. Każdy musiał to widzieć na idyllicznych chińskich malowidłach, ale tutaj istnieje to realnie. Skalne tunele, przez które przepływamy kajakami. Wioska rybacka. Skromne drewniane domki na czymś w rodzaju tratw w cichej skalnej zatoczce. Wodę pitną uzyskują tutaj z deszczu lub kupują z dostarczających ją łodzi. Woda zatoki jest ciepła, bardzo słona i lekko mętnawa. Jedzenie na statku tradycyjne, oparte na miejscowych warzywach, owocach, morskich rybach i skorupiakach oraz oczywiście ryżu. Przewodniczka uczy nas robić sajgonki. Stwierdzenie, że można wkroić psa lub kota jest chyba żartem nawiązującym do europejskich stereotypów. Jakoś nigdzie nie znaleźliśmy takiej pozycji w menu, a bywało w miejscach, gdzie poza różnymi warzywami, tofu, produktami morskimi, wieprzowiną i wołowiną serwowano np. szarańczę, żaby, gołębie, wróble czy węże... Zwiedzamy też, urządzoną na drewnianych pomostach wznoszących się na wypełnionych powietrzem beczkach, farmę pereł, wykorzystującą procesy zachodzące w organizmie ostrygi.

Delta Mekongu. Ogrom wody żółtoszarej, bardzo mętnej - z powodu podłoża geologicznego i eutrofizacji, do której po części przyczynia się człowiek. Mnóstwo długich drewnianych łodzi motorowych lub wiosłowych, bazar warzywny na wodzie, wioski z chatami na balach - kanciastych, nie okrągłych, aby nie wspinały się po nich jadowite węże - pośród poprzecinanych kanałami wodnymi grządek warzywnych i owocowych. W zakładzie przetwórstwa ryżu i kokosa zapoznajemy się wszystkimi zmysłami z różnymi etapami powstawania makaronu i papieru ryżowego, wódki ryżowej, ryżu dmuchanego, cukierków kokosowych.

Metody produkcji są tradycyjne, bazują na pracy ręcznej i bardzo prostych urządzeniach. Nic się też nie marnuje - piec, na którym nagrzewa się rodzaj patelni zamieniającej ryżowy kleik w papier ryżowy, potrzebny m.in. do sajgonek, opalany jest ryżowymi plewami.

Pozostałości wojny

W Cu Chi niedaleko Sajgonu krzepki weteran Wietkongu pokazuje nam ogromne leje po bombach zrzuconych niegdyś z B 52, dziś porośnięte już masywnymi bambusami, wielki amerykański czołg, który pozostał w dżungli wjechawszy na minę, kryjówki podziemne w sam raz dla drobnego Wietnamczyka, tunele partyzanckie, a także rekonstrukcje przyprawiających o gęsią skórę pułapek na Jankesów - np. pokryta trawą zapadnia z dołem najeżonym półmetrowymi stalowymi kolcami, systemy kolczastych obrotowych wałów wciągających w głąb ziemi. Opowiada, że najbezpieczniej było tuż przy amerykańskiej bazie powietrznej, bo tam raczej nie bombardowali. Trochę smutne, że tyle lat po wojnie musi jeszcze oprowadzać po tych miejscach grupy, które nie zawsze okazują należyty szacunek, ale z drugiej strony sprawia wrażenie dumnego ze swej bohaterskiej przeszłości. Na miejscu jest strzelnica, gdzie można spróbować historycznej broni palnej.



Ruiny kościoła w Dong Hoi. Fot. Olgierd Dilis

Uzupełnieniem tej lekcji historii są resztki wieży kościelnej w Dong Hoi, jakie ostały się po nalocie tych, co mają Boga nawet na banknotach, ruiny kompleksu hinduistycznych świątyń w My Son - w jednej z nich można obejrzeć niewybuchy bomb, i oczywiście Muzeum Pozostałości Wojennych w Sajgonie, które mogłoby się nazywać Muzeum Amerykańskich Zbrodni Wojennych. Wiele scen na zdjęciach przywodzi na myśl okupację hitlerowską w Polsce, inne są tylko mundury i sceneria. Sporo jest rozmaitych min rozrzucanych rutynowo przy wiejskich drogach, zakazanych prawem międzynarodowym pocisków i bomb tak skonstruowanych, aby rozrzucały jak najwięcej drobnych

odłamów. Najbardziej poraża jednak fotodokumentacja użycia broni chemicznej.

Zawierające dioksyny defolianty o całej gamie nazw typu agent orange, agent blue, agent green były rozpryskiwane z samolotów w celu pozbawienia partyzantów i popierających ich wieśniaków bazy pokarmowej i kryjówek poprzez całkowite zniszczenie szaty roślinnej i pozostawienie jedynie suchych badyli. W zetknięciu ze skórą człowieka powodowały one dotkliwe poparzenie, pryszcze. Były przy tym mutagenne. Jeszcze w latach 80., a nawet 90. rodziły się dzieci-potworki, tj. z różnymi upośledzeniami psychomotorycznymi, anatomicznymi anomaliami, zrośnięte płody niezdolne do życia. Cytat z Thomasa Jeffersona w oryginale i wietnamskim przekładzie, mówiący o tym, że wszyscy ludzie rodzą się równi i obdarzeni przez Stwórcę niezbywalnymi prawami, brzmi w tym kontekście boleśnie sarkastycznie i kontrastuje z praktyczną zasadą sformułowaną przez jednego z amerykańskich oficerów - co tu leży martwe, to na pewno Wietkong, co się tu jeszcze rusza, to też pewnie Wietkong. Budujące jest, że najeźdźca w końcu był zmuszony wycofać się z podkulonym ogonem, a dżungla i uprawy ryżu, bananowców, ananasów, kokosów, słodkiego ziemniaka itp. się odrodziły.

W sercu dżungli

Mając już dość gwaru i tłumy w Hanoi, Sajgonie, a nawet w bardzo stylowym i urokliwym Hoi An, gdzie mieszają się architektura wietnamska, chińska, japońska i francuska, wykupujemy wycieczkę do parku narodowego Cat Tien. Rzeka żółtobura jak Mekong, a za nią nieco zaniedbany ośrodek wypoczynkowy pośród gęstej dżungli. Po prostu ściana zieleni wszelakiej, przez którą nawet z maczetą nie byłoby łatwo się przedzierać, jeśli by pominąć ścieżki już wycięte, wydeptane i regularnie odnawiane.



Autor z żoną w Cat Tien Natinal Park. Fot. Ruslan Giczewska

Niesamowita jest symfonia dźwięków wczesnie rano. Pijąc na schodkach domku zieloną herbatę czujemy się jakbyśmy słuchali jakiegoś unikalnego koncertu muzyki psychodeliczno-eksperymentalnej. Przewodnik zabiera tylko naszą trójkę. To dobrze, bo w większej grupie chyba nie czułoby się dżungli. Niebywałych rozmiarów i kształtów drzewa, miejscami po prostu naturalne drewniane ściany. Płataniny ciernistych gałęzi, zdrewniałych lian. Mamy na sobie długie spodnie, trampki i płócienne sznurowane podkolanówki chroniące przed wszechobecnymi pijawkami. Komary jakoś nie dokuczają. Przewodnik każe poruszać się bardzo cicho, aby nie spłoszyć gibbonów. Dochodzimy do miejsca, gdzie pod drzewami rozpięte są siatki do chwytania w celach naukowych ich odchodów. Korony drzew jednak są puste - gibbony gdzieś sobie poszły... Spotykamy za to później inne małpy, podobne do tych, które skakały po drzewach, niewiele robiąc sobie z naszej obecności, na górzystej wyspie w Zatoce Ha Long. Inna grupa miała więcej szczęście i zobaczyła mnóstwo gibbonów. Wchodzimy też do ukrytej wśród zarośli wilgotnej jaskini, grząskiej od guana nietoperzy, których tysiące, charakterystycznie popiskując, latają nad głowami, nawet nas trącają. Jaskinie, gdzie główną atrakcją są niesamowite formy skalne, zjawiska krasowe, oglądamy w innych miejscach. W nocy z paki wozu terenowego oglądamy w świetle mocnej latarki spokojnie pasące się jelenie, które nie zwracają na nas uwagi.

Na chybcika to nie to

Wycieczka na Wyspy Cham nieco rozczarowuje. Sama wyspa w porządku, ale za dużo „stonki”, której jesteśmy częścią, przewodnik nas szybko przegania. Co z tego, że w malowniczej pagodzie mnich buddyjski rytmicznie uderza w wielki mosiężny gong, a grupa wiernych bije pokłony... Nie starcza

czasu, by się wyciszyć, wczuć w atmosferę miejsca. Głębokie przeżycie duchowe w takich warunkach byłoby istnym cudem.



Koralowce przy Wyspach Cham. Fot. Olgierd Dilis

Czas na snorkeling. Zakładam swoje płetwy i maskę, robię głęboki wdech i zanurzam się ku skałom pokrytym koralowcami i jeżowcami, wśród których krążą bajecznie kolorowe ryby. To lubię, z dala od międzynarodowej „stonki” w kapokach unoszącej się na powierzchni przy łodzi, wyposażonej w maski i rurki dostarczone przez biuro turystyczne. Znajduję ku swemu zaskoczeniu wielki plik wietnamskich banknotów ogromnych nominałów, jakkolwiek to względne, bo jeden dolar równa się 21000 dongów. No, ale to są jednak grube miliony, tyle że, jak się potem okazuje, atrapy do celów ofiarnych, jakie można kupić w wielu sklepach. Ciskam je z powrotem do wody. Pięknie, ale za mało czasu na wodę – mój żywioł. Jeszcze smaczny wielodaniowy posiłek, w czasie którego siedząca naprzeciwko nas para Brytyjczyków je tylko ryż, do którego jest osobna łyżka do nakładania. Widocznie brzydki ich nabieranie, w wietnamskim stylu, oblizywanymi bambusowymi pałeczkami innych składników ze wspólnych misek na te indywidualne. Nas to nie rusza – jesteśmy już zaaklimatyzowani i zasymilowani. Jeszcze chwila na plażę. Zamiast się wylegiwać, znowu śmigam pod wodę – tym razem nawet robię trochę podwodnych zdjęć, zwłaszcza że po deszczu wyszło słońce. Wpadam na motorówkę w ostatniej chwili, z maską nurkową na czole i ubranie pod pachą.

Dla każdego coś...

Wyprawa bardzo intensywna i zróżnicowana. Wietnam odbieram jako kraj piękny i różnorodny pod każdym względem, przyjazny swoim mieszkańcom, którzy go lubią, oraz przyjeźdnym. Przy całej swojej „egzotyce” – w sumie nie lubię tego słowa – można się tutaj poczuć na swój sposób swojsko. Czy to kwestia przyjaznego naturalnego klimatu, charakteru ludzi, praktyk duchowych będących dość powszechnym udziałem? Czy wszystkiego po trochu? Czy może jeszcze czegoś? W każdym razie Wietnam to dobre miejsce...

Olgierd Dilis